

# WIADOMOŚCI MISYJNE

**mam**



Wrzesień - Październik 2007  
Nr 2/8/2007

## INFORMATOR SEKRETARIATU MISYJNEGO ZGROMADZENIA KSIĘŻY MISJONARZY

Drodzy Misjonarze i Przyjaciele Misji!

*Zbliża się dzień naszej szczególnej pamięci o misjach - Światowy Dzień Misyjny, który w tym roku Kościół będzie obchodził w niedzielę, 21 października. Ojciec święty, Benedykt XVI, w tegorocznym Orędziu Misyjnym nawiązuje do wydanej 50 lat temu encykliki „Fidei donum”. Wprowadzono wtedy nową formę współpracy misyjnej - wysyłanie na misję księży diecezjalnych z krajów o dawnej tradycji chrześcijańskiej. Zachęcam do lektury słów Papieża. Tekst orędzia znajdziemy w prasie katolickiej. Będzie on czytany również w wielu kościołach parafialnych.*

*Ołaczając naszymi modlitwami wszystkich misjonarzy, zechciejmy także - poprzez lekturę tego Informatora - „zajrzeć” do naszych misjonarzy ze Zgromadzenia św. Wincentego a Paulo.*

*W ich imieniu serdecznie dziękuję za nieustanną duchową i materialną pomoc, która jest wyrazem Wszechchrześcijańskiej miłości.*

*Ks. Wojciech Kozłowski CM  
dyr Sekretariatu Misyjnego*

W tym numerze:

Spotkanie Rodzin Misjonarzy

**Ks. Włodzimierz Małota CM**  
*Raj dla grzybiarzy i narciarzy*  
*Omne ignotus pro magnifico*  
*Pierwszy dzień w Hondurasie*

**Ks. Stanisław Deszcz CM**  
*List z Kongo*

**Ks. Wojciech Kozłowski CM**  
*Wspomnienie z Madagaskaru - cz. 3*

W dniach od 31.08. do 2.09., w Częstochowie, odbyło się kolejne Spotkanie Rodzin Misjonarzy z naszego Zgromadzenia. Przez trzy dni modliliśmy się na Jasnej Górze w intencji Misjonarzy oraz wszystkich Przyjaciół Misji. Na spotkaniu obecni byli Rodzice, Rodzeństwo i Przyjaciele księży pracujących na misjach i za wschodnią granicą Polski.

Szczególnie bliskie były nam te osoby, które z powodu podeszłego wieku i stanu zdrowia nie mogły przyjechać do Częstochowy. W listach, jakie przesłały na adres Sekretariatu zapewniały one o duchowej więzi i pamięci w modlitwie.

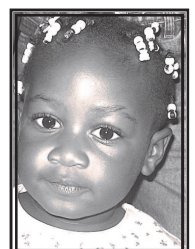
Gościem spotkania był Ks. Marcin Wiśniewski CM, misjonarz który od ponad 30-tu lat pracuje na Madagaskarze, a obecnie przebywa na urlopie w Polsce.

Uczestnicy spotkania mieli okazję obejrzeć interesujące zdjęcia i filmy, m.in. z Hondurasu, Madagaskaru oraz z Białorusi.

Mamy nadzieję, że nasze coroczne spotkania będą kontynuowane, a wszystkich Przyjaciół Misji prosimy o modlitwę, zwłaszcza w intencji chorych i zmarłych Rodziców naszych Misjonarzy.

*Stały dodatek  
do Informatora*

*Formy pomocy misjom . . . . .*



W poprzednim Informatorze mogliśmy przeczytać o doświadczeniach Ks. Włodzimierza Małoty CM podczas Jego przygotowań do wyjazdu na misję do Hondurasu. Poniżej prezentujemy kolejne, dwie relacje i przemyślenia z przygotowań w trakcie nauki języka oraz jedną - już z pierwszych dni na misyjnym szlaku. W Dodatku do Informatora zamieszczamy ponadto list Ks. Włodzimierza. List ten jest prośbą o bardzo konkretną pomoc dla chrześcijan z Jego nowej, misyjnej parafii.

### **Ks. Włodzimierz Małota CM Raj grzybiarzy i narciarzy**

Nuria to „mekka” katalońskich narciarzy. Niemal przez pół roku można tutaj szusować po stokach sięgających 2500 m npm. Zanim jednak w 1921 roku rozegrano tu pierwsze zawody narciarskie, już od XII wieku ciągnęli tutaj pielgrzymi, by pomodlić się przed cudownym obrazem Matki Bożej, a w kościelnych zabudowaniach znaleźć przytulne schronienie przed surowym górskim klimatem. Sanktuarium szczególnie upodobały sobie kobiety zmagające się ze swą nieplodnością. *Vall de Nuria* posiada niezwykle urok sama w sobie. To obszerna kotlina położona na wysokości prawie 2000 m npm. Można do niej dotrzeć tylko kolejką zębatą z Ribes de Freser (900 m npm.). Gdy jednak ta nie jeździ, w październiku i listopadzie, jedynym wyjściem jest 4-godzinny marsz antycznym szlakiem pielgrzymów, przemysłników i rozbójników. Wszelkie trudy wynagradza sceneria szlaku. Prowadzi on ciasną dolinką potoku, który na długości kilkunastu kilometrów spada w dół ponad kilometr. Łatwo wyobrazić sobie ilość wodospadów, które można podziwiać wędrując w górę. Tą samą dolinką, po skalnych półkach, w tunelach i na wiaduktach, wdrapuje się kolejka. Niekiedy trudno uwierzyć, że można było poprowadzić tory w tak niedostępnych miejscach, i to już w 1931 roku. Kotlinę z ogromną łąką otaczają graniczne łańcuchy Pirenejów, z najwyższym szczytem w tej okolicy, *Puigmal*, 2910 m.

Podczas mojego pobytu w Barcelonie udało mi się wyrwać w Pireneje dwa razy i, sam będąc grzybiarzem, zapamiętam je jako raj dla grzybiarzy. Na ścieżkach, polanach i w lasach rośnie tutaj takie mnóstwo grzybów, szczególnie maślaków, jakiego w życiu nie widziałem. Warto wspomnieć, że Katalończycy lubią grzyby i bodaj jako jedyni w Hiszpanii patrzą na jesień w kategoriach sezonu grzybobrania. Ci najbardziej wytrawni, podczas corocznych zawodów, potrafią zebrać w ciągu dnia nawet kilkadziesiąt różnych gatunków grzybów jadalnych. Generalnie, jednak, wiedzą o grzybach oraz praktycznymi umiejętnościami w ich zbieraniu i przyrządzaniu, zdecydowanie nam, Polakom, ustępują. Trzeba szczerze przyznać, bez odrobiny pychy, że nasza staropolska kuchnia w dziedzinie potraw i przetworów z grzybów nie ma sobie równych, przynajmniej spośród tych, które miałem okazję do tej pory poznać. Być może ta właśnie niekompletna wiedza sprawiła, że Katalończycy nazwali niemal całą rodzinę borowików mianem *mataparents*, czyli „zabójcy rodziców” (możemy przypuszczać, że przez otrucie...). W rodzinie tej tylko jeden gatunek jest niejadalny, ale zwyczajni grzybiarze, przerażeni nazwą całej rodziny, nie zbierają praktycznie żadnego z tych gatunków. Proszę sobie wyobrazić zagajniki wyścielone „czarnymi łebkami” i zajączkami. Borowiki szlachetne to *ceps*, i jak wszędzie cieszą się uznaniem i są poszukiwane. Podgrzybki, czyli *mollerons* i maślaki, czyli *mollerics*, ozdabiają w Pirenejach każdy zakątek i to w ilościach i wielkościach wręcz nieprawdopodobnych. Także dlatego, że jak wspomnieliśmy, prawie nikt ich nie zbiera...

Po tej uczcie dla ciała, za dwa tygodnie coś bardziej dla ducha...

(relacja z listopada 2006 r.)

### **Ks. Włodzimierz Małota CM Omne ignotum pro magnifico**

Ilekoć człowiek pozostawia swoje cztery ściany i wybiera się gdzieś w drogę, tylekoć podąża za nim, jak cień, naturalna skłonność do porównywania tego, co rodzinne z tym, co obce. Czy to będzie wyprawa na imieniny do cioci w sąsiedniej miejscowości, czy – tym bardziej – podróż „na drugi koniec świata”, nie sposób oprzeć się pokusie, by wszystko, co „swojskie” konfrontować ze wszystkim, co nowe. Wszystko ze wszystkim, od kuchni po kościół. Na początku, jak słusznie powiadali starożytni, i jak głosi tytuł, *wszystko co obce, wydaje się wspaniałe*. Z czasem, gdy wsiąka się w kulturę danego kraju, przede wszystkim poznając jego język, zaczyna się także dostrzegać jej „słabe strony” i „dziury w całym”. Zaczyna odkrywać się na nowo to, co najpiękniejsze we własnej kulturze oraz drobiazgi, którymi można by ją uczynić jeszcze bogatszą.

Przez kilkanaście pokoleń Polska nie miała dłuższego okresu czasu, by mogła „obrosnąć w piórka”, dorobić się, nacieszyć życiem... i w konsekwencji, jak Zachód i wiele cywilizacji przedtem, zapomnieć o Bogu i unicestwić się własnymi rękoma. Przez wieki ostatnim niezdobytym bastionem Polaków była ich wiara, a wraz z nią pielęgnowane w rodzinie religijne zwyczaje i tradycje. Być może właśnie to tłumaczy, dlaczego jako jedyny naród w Europie kultywujemy je wciąż z tak wielkim przejęciem. Na żadnym cmentarzu w Europie (powiedzmy, na zachód od Polski) nie przeżyje się w dzień Wszystkich Świętych tego, co na pierwszym lepszym cmentarzu w Polsce. Takich polskich niezwykłości możemy wymienić jednym tchem cały szereg. Msze za Ojczyznę w Święto Niepodległości, Wigilia, Pasterka, pielgrzymki piesze, wieczyste adoracje Najświętszego Sakramentu, spowiedź przed świętami, post w piątek, Roraty w Adwencie, Drogi Krzyżowe oraz Gorzkie Żale w Wielkim Poście, nabożeństwa majowe i różańcowe, prymicie, itd., itd.... Jeśli o nich wspominamy, to tylko po to, by nam wszystkim uświadomić, jak wielki skarb nagromadziliśmy i zachowaliśmy, my Polacy, przez wieki naszej bolesnej historii. Dziś, gdy Bóg pozwala się cieszyć życiem w pokoju i względnym dobrobycie, warto ten skarb otoczyć pieczołowitą troską.

Może w tym adwentowym pokutnym czasie trzeba zadać sobie pytanie, czy przeżywamy te wszystkie chwile bardziej czy mniej pobożnie niż nasi dziadkowie i rodzice... Czy chodzimy na cmentarz po to, by się pomodlić, czy po to, by sobie pogadać... Czy w święta tak samo dogadzamy naszej duszy, jak naszemu podniebieniu... Jednym słowem, czy wierzymy w to wszystko przynajmniej tak samo, jak nasi rodzice... Czy nie wstydzimy się tego, za co inni – którzy nas znają – tak bardzo nas podziwiają... Czy wciąż szanujemy to, z czego nasi Rodacy na obczyźnie mogą być tak niezmiernie dumni... Czy nie lekceważymy czegoś, o czym być może nawet nasi krewni z dała od domu, na obcej ziemi, tak bardzo marzą... Często ze łzami w oczach...

Za dwa tygodnie pożegnanie z Barceloną...

(relacja z grudnia 2006 r.)

**Ks. Włodzimierz Małota CM**  
**Pierwszy dzień w Hondurasie**

Honduras przywitał mnie powiewem ciepłego wilgotnego powietrza, gdy na lotnisku w San Pedro Sula wysiadałem z dwusilnikowego ATR 42. Dochodziła godzina 20 czasu lokalnego, gdy w Polsce zbliżała się 3 nad ranem. Po prawie 12 godzinach lotu przez Atlantyk, i przesiadce w Gwatemali, nieśmiało, ale z radością postawiłem swoje stopy na ziemi, która będzie moim domem przez wiele - daj Boże - następnych lat.

Czekał na mnie ks. Rafał Brukarczyk, który pracuje w Moskitii od półtora roku, i przyleciał mnie "przejąć". Z lotniska pognaliśmy terenowym Iసుzu na drugą stronę miasta do naszej misjonarskiej parafii. Powitaniom prawie nie było końca. Zdażyłem Rafałowi przekazać pozdrowienia i wieści od jego Mamy i Siostry, coś delikatnie przegryźć... i czas było się kłaść, bo organizm zaczął się dopominać o swoje. U nas była prawie 11 w nocy, u Was 6 rano.

Długo się nie napałem, bo zegar biologiczny chyba tykał jeszcze w czasie GMT (tutaj GMT-7), i po 3 w nocy już było po spaniu. Jak tu nie brać się do wstawania, skoro w głowie i w ciele już po 10. Na dobry początek odmówiłem sobie Koronkę do Bożego Miłosierdzia. Oj, żeby tak Pan Jezus był tu nade mną miłosierny przez wszystkie te lata...

Potem był telefon do domu. Mama odebrała. W sumie to Jej chyba nawet do głosu nie dopuściłem i w 2 minuty opowiedziałem ostatnich kilkanaście godzin. A resztę zacząłem w fragmentach spisywać na pocztówki, które sobie jeszcze w Gwatemali kupiłem. Zleciała godzinka, potem druga i zaczynało świtać. Rozległo się pianie koguta. Dosłownie... i to bardzo blisko, jakby za rogiem. Nigdy wcześniej sobie nie uświadamiałem, że to o wiele miłszy niż budzik. Kilka godzin wcześniej Honduras przywitał mnóstwem zapachów w ciepłym wilgotnym powietrzu, bo to było moje pierwsze wrażenie po wystawieniu nosa z samolotu. Teraz budził mnie pięknym naturalnym dźwiękiem.

O godzinie 6.30 odmówiliśmy sobie jutrznię z modlitwami misjonarskimi, a o 7.00 w kościele parafialnym odprawiliśmy moją pierwszą w Hondurasie Mszę świętą. Na wieść, że przybył nowy misjonarz z Polski rozległ się w kościele aplaus. I to dość konkretny, bo na Mszy było ze sto osób, łącznie ze scholą i gitarą. Kolejny miły akcent z rana. Po Mszy ruszyłem na spacer dookoła naszych misjonarskich włości. Przy okazji wyjaśniło się skąd pianie koguta. Na parafialnym podwórku stoi duża klatka, podzielona bodaj na 3 części, a w nich kanarki, papuga i... kogut. A wokół nich cała reszta egzotyki, czyli krzewy papaya, bananowce, palmy, etc.

Po śniadaniu wybrałem się do miasta. Miałem zrobić kolorowe ksero paszportu, kilka zdjęć do różnych dokumentów, wysłać kartki, kupić mapy i karimatę. Karimaty nie znalazłem, mapę jakąś ogólną, a reszta poszła bez problemu. Przy okazji zorientowałem mój "kompas", by się po mieście poruszać w miarę swobodnie. Na obiad był bulion cebulowy, ryba z kalafiorem i arbuzy. Same pyszności. Po obiedzie wysyłanie e-maili i drugi wypad na zakupy. Tym razem wróciłem z... maczetą. Piękna kowalsko-rymarska robota. Przyda się już jutro na wypadzie do dżungli w górach Merendon. To takie pierwsze jeszcze niezobowiązujące dotknięcie tropikalnego lasu. Jak było, dowiecie się następnym razem.

Dziś jeszcze nieszpory, a po nich kolacja u konsula honorowego Rzeczypospolitej Polskiej. Uczęszcza codziennie na Mszę świętą w tutejszej parafii i znienacka zobaczył przy ołtarzu dwóch polskich księży. No i resztę łatwo sobie wyobrazić...

*(relacja ze stycznia 2007 r.)*

*W ostatnim czasie wielu Przyjaciół Misji odpowiedziało na prośbę Ks. Stanisława Deszcza CM, który pracuje na Kongo. Ich wsparcie pomogło w pracach remontowych kaplicy misyjnej w biednej misyjnej miejscowości o nazwie Djombo. Oczywiście potrzeby są jeszcze ogromne, dlatego w dalszym ciągu można wspierać dzieło podjęte przez Ks. Stanisława modlitwą i wpłatami ofiar na konto Sekretariatu z dopiskiem: kaplica w Djombo.*

*Warto też wiedzieć, że ubóstwo krajów misyjnych nie dotyczy jedynie sfery materialnej. O innych formach ubóstwa niech świadczy dramatyczny list Ks. Stanisława i Jego prośba o modlitwę...*

**Ks. Stanisław Deszcz CM**  
**List z Kongo...**

Drogi Księżu Wojciechu,

Pozdrawiam serdecznie. Praca misyjna, jak zapewne wiesz, to dużo radości i satysfakcji, które płyną z poczucia wypełniania woli Bożej i współpracy z Jego łaską dla dobra bliźnich. Praca misyjna to także doświadczenia, które spędzają sen z powiek. Pozwól, że podzielę się z Tobą jednym z takich doświadczeń. Wśród ludzi Konga zakorzenione jest bardzo mocno przekonanie, że przyczyną śmierci, choroby, nieszczęścia czy po prostu niepowodzenia w życiu jest drugi człowiek, który magiczną siłą, jaką posiada szkodzi innym. W języku lingala nazywa się takiego człowieka «ndoki». Znaczenie tego słowa odpowiada mniej więcej znaczeniu słowa naszej czarownicy ze średniowiecza. To przekonanie prowadzi do interpretacji wszelkich nieszczęść i niepowodzeń mających swoją przyczynę w drugim człowieku.

Wydawałoby się, że po stu latach ewangelizacji, obecności nowoczesnej medycyny, studiów, itp, te przekonania powinny powoli zanikać. Od kilku lat obserwujemy wręcz coś odwrotnego. Nie tylko, że to przekonanie jest obecne, ale walka z ludźmi uważanymi za «ndoki» przybiera rozmiary przerażające. Ktoś musi być oskarżony jako ten, który jest przyczyną nieszczęść. Oskarżenie zawsze jest skierowane w najbardziej bezbronnych. Do niedawna były to osoby starsze, fizycznie słabe. W ostatnich latach oprócz osób starszych coraz częściej oskarżenia kierowane są w stronę małych dzieci.

Czy jesteś w stanie wyobrazić się w roli ojca, który oskarża swoje dziecko, że jest przyczyną twojego niepowodzenia czy twojej choroby? Czy możesz wyobrazić sobie człowieka, którego żona umiera na AIDS, a on oskarża swojego pięcioletniego syna, że zabił matkę? Czy mogą kończyć się takie oskarżenia? Zawsze izolacją od środowiska, dla którego taka osoba jest uosobieniem zła. Bardzo często pobiciem. Często wygnaniem z domu na ulice. Czasem zadaniem śmierci bez żadnego dochodzenia, sadu. W 2006 roku w Mbandaka, naszej stolicy regionu, gdzie aktualnie mieszkam zakopano w ziemi żywą, kilkunastoletnią dziewczynkę posadzoną o bycie «ndoki». Kilkuletniego chłopca związanego wywieziono pirogą na środek rzeki i wzucono do wody. Żołnierze, którzy byli w pobliżu i to zauważyli uratowali chłopcu życie. W obydwu przypadkach najbliższa rodzina organizowała egzekucje. Nikt nie powiedział: nie. Wśród tych, którzy albo czynnie uczestniczyli, albo się przypatrywali byli chrześcijanie. To są doświadczenia, które nie zawsze pozwalają spokojnie spać. Co robić?

Sekty żerują na tych przekonaniach i przyciągają ludzi obietnicami wykrycia kto w rodzinie jest «ndoki» i obietnicami cudownego uwolnienia od jego złego wpływu.

Przedstawiciele sprawiedliwości, którzy mogliby dużo zrobić albo się boją narazić, albo sami mają te same przekonania. Dzieci na ulicy, które nie mają miejsca w domu, jest coraz więcej. Jak już pisałem, próbujemy objąć opieką przynajmniej niektóre z nich. Czasem po rozmowie zabierałem dziecko i zśliśmy do rodziny, żeby próbować przekonać przynajmniej niektórych, aby zabrali dziecko do domu. Bywało, że dali się namówić. Najczęściej jednak spotykamy się z kategorię odmową: nie chcemy go w domu, bo on jest przyczyną nieszczęść w rodzinie.

Wiem, że są to pesymistyczne nowiny, którymi dzielę się z Tobą, ale co zrobić, skoro i takie są.

Jest to obraz jeszcze jednego oblicza ubóstwa. Polecam tę sprawę modlitwom.

Z Bogiem.

*Ksiądz Stanisław*

### ***Ks. Wojciech Kozłowski CM*** **Wspomnienie z Madagaskaru - cz. 3**

To, że na misjach trzeba korzystać z różnych środków transportu wiedzą zapewne wszyscy. Długie godziny spędzone za kierownicą samochodu terenowego z napędem na cztery koła (żaden inny nie pokonałby takich dróg, a raczej bezdroży), podróże do odległych wiosek motorem, przemierzanie rzek wyrotnymi pirogami zrobionymi z jednego pnia drzewa - to codzienny misjonarski chleb. Chociaż na Madagaskarze trzeba by raczej powiedzieć: „misjonarski maniok”. Chleba bowiem nie ma, smak chleba żyje tam w człowieku z Europy jedynie we wspomnieniach i jest królem wśród marzeń. Maniok to coś przypominającego smakiem słodkie ziemniaki, a wyglądem korzenie chrzanu.

Podstawowym środkiem transportu są jednak nogi i to zdrowe nogi. Ktoś powiedział: „Co to jest droga, to człowiek musi przekonać się na własnych nogach”. I miał rację. Przekonałem się o tym w drodze z Mananteniny do Ampasimeny. Razem z ks. Markiem i ks. Krzysztofem wybraliśmy się tam na poświęcenie nowej kaplicy. Oj, bolały nogi, ale tylko one mogły nas doprowadzić na miejsce przez większą część naszej wyprawy. Czasami dawaliśmy im odpocząć. Współtowarzysze mojej wędrowki siadali wtedy przy napotkanej kałuży zaspokajając pragnienie. Kiedy chciałem uczynić to samo, zdecydowanie mi odradzali: „Dostaniesz amebę i będziesz miał kłopoty, my już i tak ją mamy w żołądkach”.

Był i taki moment, że nogi zrobiły się jak z waty. Przed nami pojawiła się kilkumetrowa przepaść, a nad nią tylko dwie drewniane belki. Innej drogi nie było. „Zostajesz, czy idziesz dalej?” - usłyszałem pytanie stojących już po drugiej stronie przeszkody misjonarzy. Nie było wyjścia, musiałem przemóc strach patrząc z irytacją na ich zadowolone i dumne twarze - przecież to lepsze niż patrzeć w dół, gdzie za chwilę mogłem się znaleźć...

Po długiej wędrowce czekał nas nocleg przed uroczystością poświęcenia. Nocowaliśmy w małej chatce zrobionej z palmowych liści. Podczas, gdy misjonarze prześcigali się w koncercie na dwa głosy śpiąc smacznie i spokojnie, ja nawet nie zmrzyłem oka. Bo jak mogłem zasnąć, kiedy nad uchem ciągle coś brzęczało, a między palmowymi ścianami nie przestawało biegać, drapać, chromolić, trzeszczeć, zgrzytać i co tam jeszcze... Wstawałem więc co chwilę z zardzewiałego polowego łóżka i wychodziłem na zewnątrz. Na niebie świecił w pełni księżyc i było tak jasno, że można było czytać książkę, ale tej oczywiście nie miałem. Odmierając godziny, a od połowy nocy dosłownie minuty, nie mogłem się doczekać, kiedy obudzą się moi przyjaciele. Kiedy o wschodzie słońca podnieśli się z podłogi (zardzewiałe łóżko było tylko moim luksusem), od razu opowiedziałem im o mojej nieprzespanej nocy. Najpierw zaczęli się śmiać, a potem jak gdyby nigdy nic powiedzieli: „Przecież to tylko szczury”.

Wczesnym rankiem przemierzaliśmy ostatni odcinek naszej drogi. Od rana do Ampasimeny schodzili się Malgaszę z najdalszych zakątków. Nasza droga w porównaniu z ich to pestka. Przyszło wiele dzieci, oczywiście boso, a nie tak jak ja, w butach. Przyszli na poświęcenie nowej kaplicy. Ale nie tylko z tej okazji. Każdy z przybyszów otrzymał poczęstunek - miskę ryżu i mały kawałek mięsa. Ta druga część posiłku dla większości była jedynym mięsnym daniem w ciągu całego roku. Czy można się zatem dziwić, że ich podstawowy środek lokomocji, tzn. nogi, przeszły taką drogę? I wtedy przekonałem się, że powiedzenie o drodze trzeba w rzeczywistości misyjnej sparafrazować: „Co to jest droga, to człowiek potrafi doświadczyć, kiedy jest głodny”.

I zrozumiałem też, że warto było przejść ten „mój” kawałek drogi, abym szerzej otworzył oczy. Jestem wdzięczny tym wszystkim, którzy wtedy pielgrzymowali na nogach razem ze mną i z różnych stron Czerwonej Wyspy.

## **Informacje podatkowe**

Ofiary przekazywane na konto Sekretariatu Misyjnego są darowizną na cele kultu religijnego i jako takie mogą być odliczone w przyszłym roku od podatku dochodowego od osób fizycznych. W rocznym zeznaniu podatkowym za rok 2007 należy wykazać kwotę przekazanej darowizny, kwotę odliczonej darowizny oraz wskazać obdarowanego, czyli Sekretariat Misyjny (nazwę i adres). (Art. 26, ust. 1, pkt. 9 ustawy z dn. 26 lipca 1991 r. o podatku dochodowym od osób fizycznych).

## **Kontakt z Sekretariatem Misyjnym**

### **Adres do korespondencji:**

**Sekretariat Misyjny**

**ul. Długa 42**

**31-146 Kraków**

### **Telefony:**

**( 0-12 ) 632 51 69 wew. tonowo 72**

**0-602 34 22 54**

### **e-mail:**

**wojkozlowski@poczta.onet.pl**

### **Numer rachunku bankowego:**

**BPH O/Kraków**

**87 1060 0076 0000 3200 0098 7375**

**SWIFT CODE (dla wpłat z zagranicy):**

**BPH KPLPK**